

O Bornholmie jako wyspie, której główną atrakcją są doskonale utrzymane, niekończące się ścieżki rowerowe usłyszałam po raz pierwszy pięć lat temu. W tym roku udało mi się namówić do zwiedzenia Bornholmu mego przyjaciela, którego zaciekawiła możliwość poznania nieznanego mi jeszcze wyspy. Wyprawa na duńską wyspę miała jednak dla mnie głównie znaczenie symboliczne. Dania to pierwszy kraj poza granicami Polski jaki kiedykolwiek odwiedziłam. Wtedy, dawno temu zwiedzałam Półwysep i Kopenhagę, teraz miałam zobaczyć tylko jedną wyspę, położoną gdzieś na uboczu, bliżej Szwecji niż Danii. Ale jednak.

Wkrótce rozpoznaję zapach sklepów, oryginalny smak - niespodziewanie tu na północy Europy pysznej, duńskiej kuchni i podobnie oryginalne, uliczne życie sklepów, to jest zwyczaj wystawiania na chodniku wieszaków z ubraniami i innych towarów. Ale nie pamiętam czegoś jeszcze - bardzo charakterystycznego, a mianowicie uśmiechających się, nielicznie mijających nas na ulicy mieszkańców wyspy. Nigdy nie widziałam tylu uśmiechniętych do mnie na ulicy twarzy, od których robi się ciepło na sercu - szybko nie czuję się tu obco.

Promem dopływamy z Kołobrzegu do Nexø, ale nocleg czeka na nas w Ronne, największym mieście Bornholmu na drugim, choć ciągle południowym końcu wyspy. Gardłowy duński akcent rozbawia nas, ale nie utrudnia zrozumieć wskazówki jak dojść do informacji turystycznej. Na przystanku autobusowym dostrzegamy grupkę ciemnoskórych mężczyzn, którzy rozmawiają w nierozpoznawalnym dla mnie języku. Nadludzkiem wysiłkiem staram się nie gapić na nich, gdy mój przyjaciel uświadamia mi, że to Eskimosi z Grenlandii! Jestem zaskoczona nagłym spotkaniem z tymi egzotycznymi ludźmi - częścią duńskiej społeczności, znanymi mi wcześniej tylko z fascynujących fotografii. Autobusem jedziemy pół godziny - przez Aakirkeby. Słoneczny dzień - niebo wisi nisko nad głową, więc jestem w Danii - wszystko się zgadza. Do zameldowania się w schronisku pozostaje nam kilka godzin, więc rozkładamy się na plaży niedaleko przystani - cicho, spokojnie, chłonę wyjątkowo ostry zapach ryb, jodu i morza. Wtedy, z mieszanką rozbawienia i niepokoju uświadamiamy sobie, że mieliśmy dość pieniędzy, by tu dojechać i zapłacić za nocleg, ale zabraknie nam ich, gdy zechcemy coś zjeść i wypożyczyć rowery. W kawiarence ratuje nas możliwość płacenia kartą. Człowiek za ladą ze spokojem i bardzo pogodnie przyjmuje to, że płacimy kartą wyłącznie za dwie filiżanki kawy - nie dziwi go nic. W schronisku zauważamy kuchnię, więc w supermarkecie płacimy ponownie kartą i za umiarkowaną cenę gotujemy sobie posiłek sami. Wieczorem spacerujemy opustoszałymi o tej porze, jak na kraj skandynawski przystało, ulicami. Wiatr od morza momentami utrudnia nam oddech. Nie przeczuwam wtedy, co oznacza taka pogoda. Za to jestem bardzo rozczarowana - jak to? Nie będziemy jeździć na rowerach?? Nie sądzimy, by w wypożyczalni rowerów można było zapłacić kartą. Do tego bardzo bołą mnie kolana, które kontuzjowałam w Polsce. Jednak nie rezygnuję - na drugi dzień idziemy do wypożyczalni i... tak! - płacimy kartą i dostajemy dwa super rowery - koszt wypożyczenia to półtorej ceny w Polsce, a rowery mamy lepsze. Więc to bardzo rozsądne rozwiązanie. Obsługująca nas pani na nasz angielski konsekwentnie odpowiada po niemiecku, nie przeszkadza nam to w rozumieniu się. Pedalujemy lasem w kierunku północnym. Wzdłuż wybrzeża prowadzą nas doskonale oznakowane ścieżki - drogowskazy podają co chwilę pozostałą ilość kilometrów. Zatrzymujemy się na piaszczystej półdzikiej plaży, spienione morze dosięga piasku, kosodrzewina na wydmach jest jak w górach. Bardzo łatwo poczuć się tu szczęśliwym. Dojeżdżamy do Hasle - tu widzę charakterystyczne domy z nieproporcjonalnie wielkimi śnieżno białymi kominami - to wędzarnie. Po drodze wpadamy jeszcze do małej galerii pooglądać miejscową współczesną sztukę. Widok morza między domami u końca ulic zdumiewa mnie. Las, który przemierzamy zmienia się, ma grube poszycie lub jest rzadszy. I wtedy zaskakuje nas przygoda - z tych niemiłych.

Na kilka godzin przed ruszeniem naszego promu dostaję telefon z... żegluga kołobrzesckiej! Sztorm na Bałtyku - prom nie wypłyne. Nie ma dziś żadnego innego połączenia z Polską. Katamarany z Kołobrzegu wypływają codziennie - ale są zbyt małe, by zmierzyć się ze sztormowym morzem. Dostaję jakieś telefony ratunkowe do osób, które mają nam pomóc wydostać się z wyspy. Wykonuję ich kilkanaście - ostatecznie uświadamiamy sobie, że nie mamy innego wyjścia - musimy popłynąć nocą do Sassnitz na Rugii w Niemczech, by stamtąd dotrzeć do Kołobrzegu następnego dnia rano busem - taksówką. Taksówka kosztuje astronomiczną kwotę, którą udaje się podzielić na większa

ilość pasażerów, ale i tak przekracza wielkość naszych podróżnych budżetów. Jednocześnie wiemy, że w Kołobrzegu czeka na nas reszta bagaży i puste mieszkanie, które opłaciliśmy z góry i w którym nie spędzimy już tej nocy. Z rozrewnieniem myślę o koperku i herbacie malinowej, które wiozłam z Łeby i zostawiłam w Kołobrzegu, bo wydawały się mi cenne. Musimy dojechać do Gdańska na drugi dzień, bo stamtąd na mego przyjaciela czeka zarezerwowany lot. W nocy jesteśmy obydwoje tak zmęczeni, że nie możemy zmrużyć oka. Na tle różowo liliowego nieba migają sylwetki białych wiatraków, które towarzyszą nam prawie do granicy. O świcie w Polsce słońce rozpraszające się w mgłę przypomina płynne złoto. Cudem zdążamy na jedyny ranny pociąg z Kołobrzegu do Gdańska i w końcu możemy poczuć ulgę - mój przyjaciel dociera na lotnisko na czas - łapie swój samolot i leci do Helsinek, a ja wracam pociągiem do Krakowa.

Z dwudniowej wyprawy żyją jeszcze we mnie wspomnienia. Gdy zamykam oczy, pojawiają się przed nimi niezwykle barwne obrazy z cichych, niespiesznych miasteczek, gdzie kierowcy zatrzymują się daleko wcześniej, by przepuścić rowerzystę, gdzie barmanka uśmiecha się do nas tak, jakbyśmy byli jej jedynymi gośćmi, wypożyczalni rowerów, gdzie ufa się ludziom i po jej zamknięciu można zostawić rowery na zewnątrz, a kluczyki wrzuca się do skrzynki na listy, obrazy wzburzonego morza, wielkich głazów rozrzuconych w wodzie i na lądzie, ścieżek w głębokim, starym gęstym lesie, niskiej zabudowy wzdłuż wybrzeża, kolorowych domków i bruku z wielokolorowej kostki. Wiemy, że tu wrócimy, bo pozostało jeszcze wiele do odkrycia- historii tych miejsc i sztuki zamkniętej w muzeach. Mój przyjaciel już wie, że to niezwykła, piękniejsza od innych wyspa.

